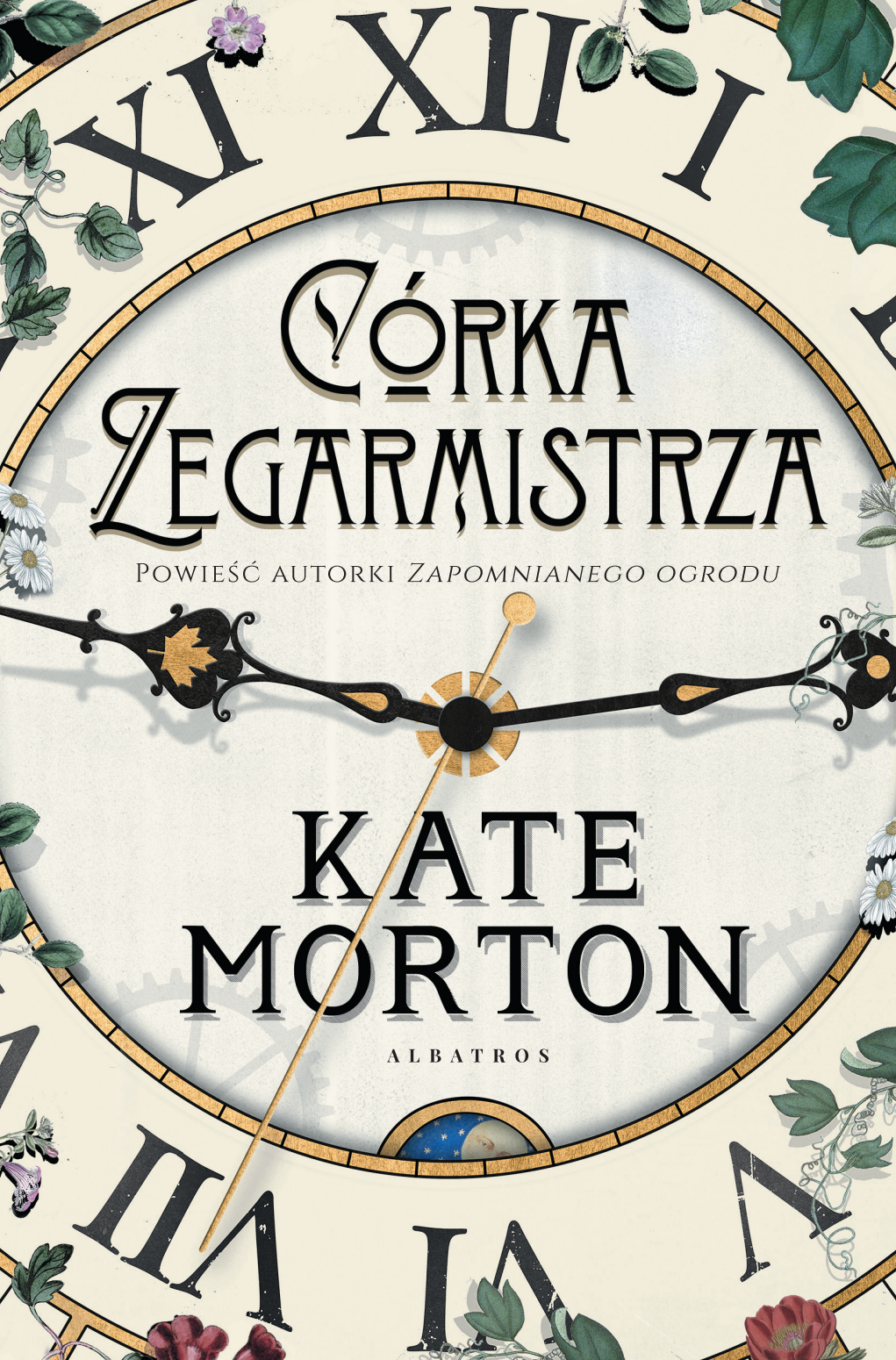




CÓRKA ZEGARMISTRZA

POWIEŚĆ AUTORKI ZAPOMNIANEGO OGRODU

KATE MORTON

ALBATROS

I

Przyjechaliśmy do posiadłości Birchwood, bo Edward twierdził, że jest nawiedzona. Wówczas jeszcze nie była, lecz tylko nudni ludzie pozwalają, by prawda stanęła na drodze dobrej opowieści, a Edward nigdy taki nie był. Jego pasja, jego oszałamiająca wiara we wszystko, co robił, była jedną z rzeczy, które w nim pokochałam. Miał gorliwość kaznodziei, swoje opinie wyrażał tak, jakby wybijał z nich lśniące monety. Przyciągał do siebie ludzi, budził w nich entuzjazm, o którego istnieniu nie mieli pojęcia, i sprawiał, że wszystko prócz niego samego i jego przekonań blakło i odchodziło w zapomnienie.

Edward nie był jednak kaznodzieją.

Pamiętam go. Pamiętam wszystko.

Pracownię ze szklanym dachem w londyńskim ogrodzie jego matki, zapach świeżo mieszanej farby, drapanie włosia o płótno, kiedy Edward pieścił wzrokiem moje ciało. Tamtego dnia ciarki przebiegały mi po plecach. Chciałam zrobić na nim wrażenie, chciałam, by pomyślał, że jestem kimś, kim nie byłam, i czując na sobie jego wzrok, słyszałam w głowie błagalny głos pani Mack: „Twoja matka była damą, pochodzisz ze szlacheckiego rodu, nie zapomnij o tym. Rozegraj to właściwie, a odzyskasz wszystko, co ci odebrano”.

Tak więc tamtego pierwszego dnia siedziałam wyprostowana na palisandrowym krześle w pobielonym pokoju za obsypaną kwieciami płataniną groszku pachnącego.



Kiedy byłam głodna, jego najmłodsza siostra przynosiła mi herbatę i ciasto. Jego matka przychodziła wąską ścieżką, by zobaczyć, jak pracuje. Widziała w nim spełnienie rodzinnych nadziei. Uwielbiała syna. Wybitnego członka Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych zaręczonego z panną z zamożnego rodu i przyszłego ojca gromadki brązowookich dziedziców.

Nie był dla dziewcząt mojego pokroju.



Jego matka obwiniła się o to, co wydarzyło się później, lecz łatwiej by jej było zatrzymać czas, niż nas rozdzielić. Nazywał mnie swoją muzą, swoim przeznaczeniem. Mówił, że wiedział to od razu, gdy tylko zobaczył mnie w zamglonym świetle latarni gazowej w foyer teatru przy Drury Lane.

Byłam jego muzą, jego przeznaczeniem. Tak jak on był moim.

To było dawno temu, a jakby zdarzyło się wczoraj.

Och, pamiętam, ukochany.



Ten kącik w połowie głównych schodów jest moim ulubionym.

To dziwny dom, zbudowany po to, by wprowadzić w zakłopotanie. Schody, które zakręcają pod dziwnym kątem, kanciaste i nierówne; okna rozmieszczone na różnych wysokościach, tak że patrząc na niektóre, trzeba było mrużyć oczy; deski podłogowe i wyłożone boazerią ściany z ukrytymi drzwiczkami.

W tym kącie jest dziwnie, niemal nienaturalnie ciepło. Zauważyliśmy to, kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy, i w ciągu pierw-

szych tygodni lata na zmianę zgadywaliśmy, jaka jest tego przyczyna.

Odkrycie prawdy zajęło mi trochę czasu, ale w końcu ją poznałam. Znam to miejsce tak dobrze jak własne imię.



To nie domem, lecz światłem Edward kusił innych. W słoneczny dzień z okien poddasza roztacza się widok na Tamizę i dalej, aż po góry Walii. Wstęgi jasnego fioletu i zieleni, kredowe granie sięgające chmur i ciepłe powietrze, w którym wszystko zdaje się opalizować.

Oto jak brzmiała jego propozycja: cały miesiąc lata pełen malowania, poezji i pikników, opowieści, nauki i wynalazków. Światła będącego darem niebios. Z dala od Londynu, z dala od wścibskich spojrzeń. Nic dziwnego, że pozostali chętnie się na to zgodzili. Edward potrafiłby nakłonić do modlitwy samego diabła, gdyby tylko chciał.

Tylko mnie wyznał inny powód, dla którego tutaj przybył. Bo choć naprawdę nie brakowało tu wspaniałego światła, Edward skrywał tajemnicę.



Ze stacji kolejowej przyszliśmy pieszo.

Był idealny lipcowy dzień. Wiatr szarpał rąbkiem mojej spódnicy. Ktoś wziął ze sobą kanapki i zjedliśmy je po drodze. Ależ musieliśmy stanowić widok – mężczyźni z poluzowanymi fularami i kobiety z rozwiewanymi wiatrem długimi włosami. Śmiech, przekomarzanie się, zabawa.

Cóż za wspaniały początek! Pamiętam szmer pobliskiego strumienia i krzyk grzywacza wysoko w górze. Mężczyznę prowadzącego konia, wóz z siedzącym na belach słomy chłopcem, zapach świeżo skoszonej trawy. Ach, jakże brakuje mi tego zapachu! Kiedy

dotarliśmy do rzeki, stado tłustych gęsi przyglądało się nam pacior-kowatymi oczkami; odczekały, aż je minimy, i dopiero się rozgę-gały.

Wszystko było jasne i radosne, lecz ta radość nie trwała długo.

Pewnie już to wiecie, gdyby bowiem ciepło przetrwało, nie by-łoby tej historii. Nikogo nie obchodzi leniwe, szczęśliwe lata, które kończą się tak, jak się zaczęły. Tego nauczył mnie Edward.



Odosobnienie nie było tu bez znaczenia; dom przycupnięty nad brzegiem rzeki przypominał wciągnięty na ląd wielki statek. Pogoda również robiła swoje. Upalne dni, jeden za drugim, a potem letnia burza, która tamtej nocy zagoniła nas wszystkich do środka.

Wiał wiatr, drzewa jęczały, a grzmoty przetaczały się nad rzeką, by wziąć dom w swoje władanie, gdy tymczasem w środku rozmowa zesła na duchy i czary. Ogień trzaskał na palenisku, płomienie świec drżały, a w ciemnościach, w atmosferze rozkosznego lęku i wyznań, narodziło się coś złego.

Nie duch. O nie, nic z tych rzeczy – to, co się stało, było wyłącz-nie dziełem człowieka.

Dwoje niespodziewanych gości.

Dwie z dawna skrywane tajemnice.

Wystrzał w ciemnościach.



Światło zgasło i wszystko spowiła czerń.

Lato dobiegło końca. Pierwsze liście opadły i gniły w kałużach pod rzednącymi żywopłotami, a Edward, który kochał ten dom, zaczął sztywnym krokiem przemierzać jego korytarze. Uwięziony.

W końcu nie mógł dłużej tego znieść. Spakował swoje rzeczy, gotowy wyjechać, a ja nie mogłam go zatrzymać.

Po nim, jak zawsze, wyjechali inni.

A ja? Ja nie miałam wyboru. Zostałam.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lato 2017

To była ulubiona pora dnia Elodie Winslow. Lato w Londynie; w pewnym momencie późnego popołudnia słońce zdawało się zatrzymywać w swojej wędrówce po niebie, a światło wlewało się przez świetliki w chodniku, padając wprost na jej biurko. Najlepsze jednak było to, że po wyjściu Margot i pana Pendletona Elodie została sama.

Piwnica Stratton, Cadwell & Co. w budynku przy Strandzie nie była szczególnie romantycznym miejscem, w przeciwieństwie do pomieszczenia magazynowego w New College, gdzie Elodie pracowała w wakacje tuż po tym, jak skończyła studia magisterskie. Nie było tu ciepło. Nigdy. Nawet podczas fali upałów takiej jak ta, siedząc przy biurku, Elodie musiała wkładać sweter. Ale od czasu do czasu, przy pomyślnym układzie gwiazd, biuro z jego zapachem kurzu i toczącą swe wody Tamizą było niemal uroczne.

W małej, wąskiej kuchence za ścianą zastawioną szafkami na dokumenty Elodie wlała do kubka wrzącą wodę i włączyła minutnik. Margot uważała, że to przesada, ale Elodie lubiła, gdy herbata parzyła się dokładnie trzy i pół minuty.

Ze wzrokiem wbitym w ziarna piasku przesypujące się w klepsydze wróciła myślami do wiadomości, którą dostała od Pippy.

Odsłuchiwała ją na telefonie, gdy lawirując między samochodami, przechodziła przez ulicę, by kupić kanapkę na lunch. Było to zaproszenie na przyjęcie promocyjne, które zdaniem Elodie zapowiadało się równie kusząco jak siedzenie w poczekalni przed wizytą u lekarza. Na szczęście miała już plany – zamierzała odwiedzić ojca w Hampstead i odebrać kasety, które dla niej odłożył – nie musiała więc wymyślać wymówki.

Odmawianie Pippie nie było łatwe. Były najlepszymi przyjaciółkami od trzeciej klasy szkoły podstawowej w Pineoaks. Elodie często dziękowała w duchu pannie Perry za to, że posadziła je w jednej ławce: Elodie, nową dziewczynkę w dziwnym mundurku i z zaplecionymi nieudolnie przez ojca krzywymi warkoczykami, i Pippę, z jej szerokim uśmiechem, dołeczkami w policzkach i rękami, które gdy mówiła, pozostawały w ciągłym ruchu.

Od tamtej pory były nierozłączne. Przez szkołę podstawową, liceum, a nawet potem, kiedy Elodie wyjechała do Oksfordu, a Pippa studiowała w Central Saint Martins. Teraz nie widywały się już tak często, ale można się było tego spodziewać. Londyński świat sztuki tętnił życiem towarzyskim, nic więc dziwnego, że Pippa, która kiedy biegła z otwarciem jednej galerii albo instalacji do drugiej, na okrągło przysyłała Elodie zaproszenia.

Tymczasem świat archiwów był miejscem zdecydowanie nie-towarzyskim. Tak przynajmniej twierdziła Pippa. Elodie pracowała do późna i często miała do czynienia z ludźmi; sęk w tym, że ci ludzie nie żyli. Panowie Stratton i Cadwell, założyciele Stratton, Cadwell & Co., podróżowali po świecie w czasach, gdy ten zaczynał się kurczyć, a wynalezienie telefonu nie zdążyło jeszcze osłabić zaufania do korespondencji. I tak Elodie całymi dniami obcowała z zakurzonymi wyblakłymi przedmiotami należącymi do zmarłych, natrafiając na relacje z wieczorku w Orient Expressie lub spotkania wiktoriańskich podróżników poszukujących Przejścia Północno-

-Zachodniego.

Takie spotkania towarzyskie w czasie sprawiały jej nieopisaną radość. To prawda, że nie miała wielu przyjaciół – przynajmniej takich z krwi i kości – lecz nie martwiła się tym. Męczyło ją to całe uśmiechanie się, rozmowy i spekulacje na temat pogody i zawsze wychodziła ze spotkań wyczerpana; czuła się tak, jakby zapodziała gdzieś swoje pokłady żywotności i miała ich już nigdy nie odzyskać.

Teraz wyciągnęła z kubka torebkę herbaty, wycisnęła do zlewu ostatnie krople i dołała odrobinę mleka.

Wróciła do biurka, gdzie promienie popołudniowego światła zaczynały codzienną wędrówkę, i grzejąc ręce o kubek, nad którym unosił się obłok pary, przejrzała pozostałe zadania. Była w połowie katalogowania relacji młodszego Jamesa Strattona z jego wyprawy na zachodnie wybrzeże Afryki w 1893 roku; musiała napisać artykuł do kolejnego numeru miesięcznika „Stratton, Cadwell & Co.”, a pan Pendleton zlecił jej korektę katalogu nadchodzącej wystawy, zanim ten pójdzie do druku.

Uwagę Elodie, która przez cały dzień podejmowała decyzje w sprawie słów i ich szyku, przykuło woskowane kartonowe pudło stojące na podłodze pod biurkiem. Stało tu od poniedziałkowego popołudnia, kiedy z powodu awarii wody w biurach na piętrze trzeba było natychmiast opróżnić starą szatnię – nisko sklepioną dobudówkę, do której nie wchodziła chyba od dziesięciu lat, odkąd zaczęła tu pracować. Pudło znaleziono na dnie zabytkowej szfoniery, pod stertą zakurzonych żakardowych zasłon; przyklejona na wieczku etykieta głosiła: *Zawartość szuflady biurka na poddaszu, 1966 – nieskatalogowana.*

Znalezienie materiałów archiwalnych w nieużywanej szatni, dziesiątki lat po tym, jak tam trafiły, było niepokojące, nic więc dziwnego, że pan Pendleton zareagował nerwowo. Miał bzika na punkcie procedur i Elodie i Margot przyznały zgodnie, że dobrze

się stało, że osoba, która odbierała przesyłkę w 1966 roku, dawno już tu nie pracuje.

Do tego wszystko wydarzyło się w najmniej odpowiednim momencie, odkąd bowiem przysłano konsultanta do spraw zarządzania w celu „ograniczenia kosztów”, pan Pendleton chodził kompletnie skołowany. Już samo naruszenie jego przestrzeni wydawało się wystarczającym ciosem, ale podawanie w wątpliwość jego metod pracy było już nie do przyjęcia. „To tak, jakby ktoś pożyczał twój zegarek, żeby powiedzieć ci, która jest godzina”, wycedził kiedyś przez zaciśnięte zęby po porannym spotkaniu z konsultantem.

Niespodziewane pojawienie się pudła mogło wywołać u niego apopleksję, tak więc Elodie – która w równym stopniu nie lubiła spięć co bałaganu – zobowiązała się wszystko naprawić, uprzątnąć i ukryć przed wzrokiem przełożonego.

Nie chcąc wywołać jego kolejnego wybuchu złości, schowała pudło pod biurkiem, teraz jednak, skoro została sama w pustym biurze, uklękła na dywanie i wyciągnęła je z kryjówki...



Punkciki światła zaskoczyły ją i torba wciśnięta głęboko na dno pudła odetchnęła. Podróż była długa i co zrozumiałe, męcząca. Jej krawędzie zaczynały się przecierać, klamry zaśniedziały, a we wnętrzu czuć było nieprzyjemną woń stęchlizny. Warstwa kurzu na stałe przywarła do eleganckiej niegdyś powierzchni, przez co stała się torbą, którą ludzie trzymali na odległość i przechylając głowę, próbowali odgadnąć, co też może zawierać. Była zbyt stara, by na coś się przydać, ale roztaczała wokół siebie trudną do określenia historyczną aurę, przez co szkoda ją było wyrzucić.

Kiedyś była kochana, podziwiana za elegancję – i co ważniejsze, za swoją funkcję. Służyła wiernie pewnej osobie w czasie, kiedy przedmioty takie jak ona były wysoko cenione. Od tamtej pory

ukrywano ją i ignorowano, odzyskano i zdyskredytowano, zgubiono, znaleziono i zapomniano.

Teraz, jeden po drugim, przedmioty, które zalegały na niej przez dziesiątki lat, były usuwane, aż w końcu ona także wynurzyła się na powierzchnię w tym pomieszczeniu wypełnionym elektrycznym brzęczeniem i skrzypieniem rur. Wśród rozproszonego żółtego światła, woni papieru i miękkich, białych rękawiczek.

Rękawiczki chroniły dłonie kobiety: młodej, o wąskich ramionach, delikatnej szyi i twarzy okolonej krótkimi, czarnymi włosami. To ona trzymała torbę w wyciągniętych rękach, ale nie z niesmakiem.

Dotyk miała delikatny. Zaciśnięte w zamyśleniu usta przywodziły na myśl drobną sznurowaną sakiewkę, a zmrużone lekko szare oczy rozszerzyły się, gdy z uwagą oglądała ręcznie wykonane szwy, najprzedniejszego gatunku indyjską bawełnę i równy ścieg.

Kiedy musnęła kciukiem inicjały na klapie, spłowiące i smutne, torba zadrżała z radości. Uwaga, jaką poświęcała jej ta młoda kobieta, sugerowała, że to, co okazało się nieoczekiwanie długą podróżą, być może właśnie dobiegało końca.

Otwórz mnie, nęciła torba. Zajrzyj do środka.



Dawno, dawno temu torba była lśniąca i nowa. Wykonana na zamówienie przez pana Simmsa we własnej osobie w fabryce W. Simms & Son przy Bond Street, zaopatrującej rodzinę królewską. Połączane inicjały ręcznie wytłoczono na gorąco; każdy srebrny nit i klamra zostały starannie dobrane, obejrzone i wypolerowane; najwyższej jakości skórę skrojono i zszyto z dbałością o szczegóły, po czym z dumą natłuszczono i wyczyszczono. Dalekowschodnie przyprawy z sąsiedniej perfumerii – goździki, olejki sandałowe i szafran – napełniły torbę nutą dalekich, egzotycznych miejsc.

Otwórz mnie...

Kobieta w białych rękawiczkach otworzyła zmatowiałą srebrną klamrę i torba wstrzymała oddech.

Otwórz mnie, otwórz mnie, otwórz mnie...

Odchyliła skórzaną klapę i po raz pierwszy od przeszło wieku ciemne zakamarki torby wypełniły się światłem.

Wraz z nim powróciły bezładne urywki wspomnień: dźwięk dzwonka nad drzwiami W. Simms & Son; szelest spódnic młodej kobiety; tętent końskich kopyt; zapach świeżej farby i terpentyny; upał, pożądanie, szept. Blask latarni gazowych na dworcach kolejowych; długa kręta rzeka; pszeniczny zapach lata...

Odziane w rękawiczki dłonie cofnęły się, unosząc z sobą zawartość torby.

Dawne doznania, głosy przycichły, ślady wyblakły i w końcu wszystko spowila pustka i cisza.

To był koniec.



Elodie położyła zawartość pudła na kolanach, torbę zaś odłożyła na bok. Był to piękny przedmiot, nijak niepasujący do pozostałych, które wyjęła z kartonu. Były wśród nich głównie artykuły biurowe – dziurkacz, kałamarz, drewniana wkładka z przegródkami na długopisy i spinacze... i etui na okulary, z krokodylej skóry, opatrzone etykietą producenta z napisem: *Własność L. S-W*. Sugerowała ona, że biurko wraz z całą jego zawartością należało niegdyś do Lesley Stratton-Wood, wnuczki brata Jamesa Strattona. Wiek się zgadzał – Lesley Stratton-Wood zmarła w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, co tłumaczyło pojawienie się pudła w siedzibie Stratton, Cadwell & Co.

Ale torba – chyba że była to doskonale wykonana kopia – była zbyt stara, by mogła należeć do pani Stratton-Wood, a znajdujące

się w niej przedmioty wyglądały na pochodzące sprzed dwudziestego wieku. Wstępne oględziny ujawniły dziennik w czarnej oprawie z monogramem E.J.R. i marmurkowym wzorem, mosiężne etui na pióro ze środkowego okresu epoki wiktoriańskiej i spłowiałą zieloną teczkę na dokumenty. Na pierwszy rzut oka nie sposób było powiedzieć, do kogo należała torba, ale pod skrzydełkiem teczki widniał połączany tłoczony znak: *Czcigodny James W. Stratton, Londyn, 1861.*

Teczka na dokumenty była płaska, więc Elodie pomyślała, że pewnie jest pusta, kiedy jednak otworzyła zatrzask, w środku coś na nią czekało. Była to delikatna srebrna ramka, na tyle mała, by zmieściła się w dłoni. Znajdowała się w niej fotografia młodej kobiety z długimi włosami, jasnymi, ale nie blond, z których część upięto na czubku głowy w niedbały kok. Kobieta patrzyła przed siebie, brodę miała lekko uniesioną, wysokie kości policzkowe. Zaciśnięte usta wyrażały determinację, może nawet sprzeciw.

Elodie ogarnęło znajome uczucie wyczekiwania, gdy przyglądała się sepiowej fotografii – obietnicy życia, które czekało, by ktoś odkrył je ponownie. Suknia kobiety była luźniejsza niż te, które zwykle noszono w tamtym okresie. Białe materiały udrapowane na ramionach i dekolcie układał się w literę V. Jeden z bufiastych rękawów był podwinięty aż do łokcia. Kobieta miała szczupły nadgarstek, a wsparta na biodrze dłoń podkreślała wcięcie w talii.

Otoczenie wydawało się równie niezwykle jak modelka, kobieta bowiem nie pozowała na kanapie ani na tle zasłony z widokiem, tak charakterystycznych dla wiktoriańskich portretów. Stała na dworze, otoczona bujną roślinnością. Światło było rozproszone, przez co efekt wydawał się upajający.

Elodie odłożyła zdjęcie na bok i sięgnęła po dziennik z monogramem. Otworzył się, odsłaniając grube kremowe kartki drogiego papieru czerpanego. Zapisane starannym pismem linijki były tylko

dopełnieniem licznych rysunków piórkiem przedstawiających postacie, widoki i rozmaite przedmioty. A zatem to nie dziennik, lecz szkicownik.

Spomiędzy kartek wypadł wydarty skądś skrawek papieru. W poprzek zapisano na nim dwa zdania: *Kocham ją, kocham ją, kocham ją. I jeśli nie mogę jej mieć, oszaleję, kiedy bowiem nie ma jej przy mnie, boję się...*

Słowa urywały się, jak gdyby wypowiedziano je na głos. Elodie odwróciła kartkę, ale autor nie zdradził, czego się bał.

Opuszkami palców musnęła litery. Na oglądanym w ostatnich promieniach słońca papierze widać było pojedyncze nitki, a także maleńkie, przezryste punkciki w miejscach, gdzie ostrze stalówki przebiło papier.

Wsunęła świstek z powrotem między kartki szkicownika.

Mimo czasu, który upłynął od napisania wiadomości, jej przesłanie było niepokojące: świadczyło jasno i dobitnie o tym, że pewne rzeczy pozostały niedokończone.

Elodie ostrożnie odwracała kartki wypełnione kreskowanymi rysunkami, tu i ówdzie na marginesie pojawiały się robocze szkice profili twarzy.

Nagle zamarła.

Ten szkic był bardziej szczegółowy od pozostałych, pełniejszy. Przedstawiał rzekę, wysunięte na pierwszy plan drzewo i las widoczny w oddali za rozległym polem. Po prawej stronie za zagajnikiem wznosił się szczyt domu z bliźniaczymi szczytami, ośmioma kominami i ozdobnym wiatrowskazem przedstawiającym słońce, księżyc i inne symbole niebieskie.

Rysunek wykonano z wielką dokładnością, nie to jednak przykuło uwagę Elodie. Miała wrażenie *déjà vu* tak silne, że poczuła ucisk w piersi.

Znała to miejsce. Wspomnienie było tak żywe, jak gdyby tam była, a jednak wiedziała, że odwiedziła to miejsce wyłącznie w wyobraźni.

Słowa pojawiły się równie jasne i czyste jak pieśń ptaka o poranku: *Kręłą ścieżyną szli, łaską w kierunku wierzb, i nad rzekę zanieśli swe sekrety i miecz.*

I nagle przypomniała sobie. Była to historia, którą opowiadała jej mama. Bajka do poduszki, romantyczna i zagmatwana, o bohaterach, złoczyńcach i królowej elfów, a jej akcja toczyła się w domu pośród ciemnych lasów otoczonych długą wijącą się rzeką.

Nie pochodziła jednak z książki z obrazkami. Mama opowiadała baśń, kiedy siedziały obok siebie w dziecięcym łóżeczku Elodie w pokoju ze skośnym sufitem...

Zegar na ścianie wybił godzinę. Był to ostrzegawczy niski dźwięk dobiegający z gabinetu pana Pendletona, i Elodie zerknęła na zegarek. Była spóźniona. Czas kolejny raz stracił kształt, a jego strzałka zmieniła się w wirujące wokół niej drobinki kurzu. Elodie ostatni raz zerknęła na znajomą scenerię, włożyła szkicownik i resztę przedmiotów z powrotem do pudła, zamknęła je i wsunęła pod biurko.

Zebrała swoje rzeczy i zaczęła się szykować do wyjścia. Była w połowie codziennego rytuału sprawdzania i zamykania drzwi, kiedy poczuła nieodpartą chęć. Nie mogąc się jej oprzeć, szybkim krokiem podeszła do pudła, wyjęła szkicownik i wsunęła go do torby.

ROZDZIAŁ DRUGI

Elodie złapała autobus linii 24 na północ od Charing Cross do Hampstead. Metrem byłaby szybciej, ale nim nie jeździła. Było tam za dużo ludzi, za mało powietrza, a ona źle się czuła w ciasnych przestrzeniach. Niechęć ta towarzyszyła jej od dziecka i zdążyła się do niej przyzwyczaić, ale teraz żałowała, że tak jest. Podobała jej się sama idea metra jako przykładu dziewiętnastowiecznego przedsięwzięcia, jego wiekowe płytki, historia i kurz.

Samochody wlokły się jeden za drugim w ślimaczym tempie, zwłaszcza w okolicach Tottenham Court Road, gdzie budowa linii Crossrail obnażyła tyły wiktoriańskich szeregowców z cegły. Był to jeden z ulubionych widoków Elodie; pozwalał zajrzeć w przeszłość tak rzeczywistą, że dało się jej dotknąć. Jak zawsze próbowała sobie wyobrazić życie ludzi, którzy mieszkali w tych domach dawno temu, w czasach, gdy południową część St Giles stanowiły slumsy – zapuszczony rojny labirynt krętych uliczek, dołów kloacznych i sklepów z ginem, pełen hazardzistów, prostytutek i uliczników – gdzie Charles Dickens odbywał swe codzienne spacerunki, a alchemicy pracowali wytrwale na cuchnących ściekami ulicach Seven Dials.

James Stratton młodszy, który jak wielu ludzi epoki wiktoriańskiej fascynował się ezoteryką, opisywał w swoich dziennikach wizyty u pewnej spirytystki i jasnowidzki w Covent Garden, z którą

łączył go długotrwały flirt. Jak na bankiera James Stratton miał wyjątkowy dar pisania, a jego dzienniki dawały barwny, pełen współczucia, a czasami zabawny obraz życia w wiktoriańskim Londynie. Był miłym człowiekiem, dobrym, zaangażowanym w poprawę życia biednych i wywłaszczonych. Jak pisał do przyjaciół, próbując przekonać ich do swoich filantropijnych idei, wierzył, że „aby odmienić życie i perspektywy człowieka, wystarczy dać mu miejsce, gdzie wieczorem będzie mógł złożyć głowę do snu”.

W kręgach zawodowych był szanowany, a nawet lubiany – ot, radosny człowiek, którego chętnie zapraszano na przyjęcia, bogaty obieżyswiat i człowiek sukcesu epoki wiktoriańskiej. Ale w życiu osobistym był znacznie bardziej samotny. Ożenił się późno, po kilku krótkotrwałych romansach z niewłaściwymi kobietami; były wśród nich aktorka, która uciekła z włoskim wynalazcą, i modelka, która zaszła w ciążę z innym. Po czterdziestce obudziło się w nim głębokie, trwałe uczucie do jednej ze służących, cichej dziewczyny imieniem Molly, której często sprawiał drobne przyjemności, choć nigdy otwarcie nie wyznał jej swych uczuć. Zupełnie jakby celowo wybierał kobiety, które nie chciały – albo nie mogły – go uszczęśliwić, pomyślała Elodie.

– Czemu miałyby to robić? – spytała Pippa, unosząc brwi, gdy Elodie wspomniała o tym pewnego wieczoru przy tapas i sangrii.

Elodie nie była pewna. Wiedziała tylko, że w jego korespondencji nic nie było jawne; słowem nie wspominał o nieodwzajemnionej miłości, tak jak nie przyznawał się do tego, że jest nieszczęśliwy, lecz pod powierzchnią listów wyczuwało się jakąś melancholię, jak gdyby uparcie poszukiwał czegoś, co już zawsze miało pozostać poza jego zasięgiem.

Zdążyła się przyzwyczaić do podejrzliwości, która malowała się na twarzy Pippy za każdym razem, gdy wypowiadała na głos podobną myśl. Nie potrafiła opisać słowami intymności obcowania z

przedmiotami należącymi niegdyś do innego człowieka. Nie rozumiała współczesnej potrzeby upubliczniania najsłynniejszych uczuć; sama strzegła swojej prywatności i zgadzała się z francuskim poglądem *le droit à l'oubli* – o prawie do bycia zapomnianym. A jednak jej praca – więcej, jej pasja – polegała na ocaleniu od zapomnienia, a nawet odtwarzaniu życia tych, którzy nie mieli w tej materii żadnego wyboru. Czytała najbardziej osobiste myśli Jamesa Strattona, dzienniki niespisywane z myślą o potomności, tymczasem on nigdy o niej nie słyszał.

– To oczywiście, że się w nim kochasz – mówiła Pippa, kiedy Elodie próbowała jej wytłumaczyć.

Ale to nie była miłość. Elodie najzwyczajniej w świecie podziwiała Jamesa Strattona i czuła się w obowiązku chronić jego dziedzictwo. Ten człowiek wyprzedzał swoją epokę, a zadaniem Elodie było dopilnować, by go za to szanowano.

Obracając w głowie słowo „szanowano”, pomyślała o ukrytym w torbie szkicowniku i poczuła, że się rumieni.

Co, na Boga, ją opętało?

Czuła panikę zmieszaną ze strasznym, cudownym i podszytym poczuciem winy radosnym oczekiwaniem. Nigdy w ciągu dziesięciu lat pracy w archiwach Stratton, Cadwell & Co. w tak oczywisty sposób nie złamała zasad ustanowionych przez pana Pendletona. Mówiły one jasno i wyraźnie: wyniesienie czegokolwiek z piwnicy – gorzej, ukrycie przedmiotu w torbie i, o zgrozo, przewiezienie londyńskim autobusem dwudziestego pierwszego wieku – to wyjątkowy przejaw braku szacunku. Rzecz niewybaczalna.

Lecz kiedy autobus linii 24 okrążył stację Mornington Crescent i wjechał w Camden High Street, Elodie, upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, wyjęła szkicownik z torby, pospiesznie przerzuciła kartki i zatrzymała się na stronie z rysunkiem domu i rzeki.

I tym razem ogarnęło ją dojmujące uczucie swojskości. Znała

to miejsce. W historii opowiadanej przez mamę dom był bramą do innego świata. Dla Elodie, skulonej w matczynych ramionach i wdychającej jej egzotyczny zapach narcyzów, cała ta opowieść była niczym brama, zaklęcie, które przenosiło ją z tu i teraz do krainy wyobraźni. Po śmierci matki świat opowieści stał się jej kryjówką. Czy to w czasie przerwy na lunch w nowej szkole, w domu podczas długich cichych popołudni, czy nocami, kiedy napierająca zewsząd ciemność groziła uduszeniem, wystarczyło ukryć się, zamknąć oczy, przekroczyć rzekę i las i wkroczyć do zaczarowanego domu...



Autobus dotarł na South End Green i Elodie zatrzymała się przy straganie koło stacji Overground, po czym pospieszyła Willow Road w kierunku ogrodów Gainsborough. Dzień nadal był ciepły i wyjątkowo duszny i kiedy stanęła przed drzwiami maleńkiego domu ojca – niegdyś chatki ogrodnika – czuła się, jakby przebiegła maraton.

– Cześć, tato – rzuciła, kiedy pocałował ją w policzek. – Przywiozłam ci coś.

– No nie wiem – bąknął, z powątpiewaniem zerkając na roślinę doniczkową, którą trzymała w dłoniach. – Po tym, co przydarzyło się tej ostatniej?

– Wierzę w ciebie. Poza tym pani, od której ją kupiłam, powiedziała, że wystarczy ją podlać dwa razy w roku.

– Dobry Boże, naprawdę? Dwa razy w roku?

– Tak powiedziała.

– Niewiarygodne!

Mimo upału ojciec przygotował kaczkę w pomarańczach, swoją specjalność, i jak zawsze zjedli razem przy kuchennym stole. Byli rodziną, która spożywała posiłki w jadalni tylko przy wyjątkowych okazjach: w Boże Narodzenie, urodziny albo gdy matka Elodie

uznała, że powinni zaprosić na Święto Dziękczynienia amerykańskiego skrzypka z żoną przebywających właśnie w Londynie.

Jedząc, rozmawiali o jej pracy, przygotowaniach do nadchodzącej wystawy, chórze ojca i zajęciach, które prowadził ostatnio w jednej z miejscowych podstawówek. Jego twarz pojaśniała, gdy opowiadał o dziewczynce, której skrzypce były niemal tak długie jak jej ramię, i jasnookim chłopcu z własnej woli przychodzącym do sali prób i błagającym o lekcje gry na wiolonczeli.

– Widzisz, jego rodzice nie bardzo lubią muzykę – wyjaśnił ojciec.

– Niech zgadnę: dogadaliście się?

– Nie miałem sumienia powiedzieć „nie”.

Uśmiechnęła się. Jej ojciec miał słabość do muzyki i do głowy by mu nie przyszło, żeby odmówić dziecku, które dzieliło jego pasję. Wierzył, że muzyka ma moc, która odmienia ludzkie życie – „ich umysły, Elodie” – i nic nie ekscytowało go bardziej niż rozmowy o plastyczności mózgu i zdjęcia z rezonansu magnetycznego wskazujące na związek między muzyką a empatią. Elodie serce się ścisnęło, gdy obserwowała go, jak słucha koncertów, i widziała bezbrzeżne skupienie na jego twarzy, kiedy siedział obok niej w teatrze. Sam był niegdyś zawodowym muzykiem. „Tylko drugim skrzypkiem”, zaznaczał za każdym razem, gdy pojawiał się ten temat. Po czym dodawał z niemal nabożnym szacunkiem: „Nie to, co ona”.

Ona. Wzrok Elodie powędrował do jadalni po drugiej stronie korytarza. Z miejsca, w którym siedziała, widziała tylko brzegi kilku ram, ale nie musiała patrzeć na ścianę, by wiedzieć, gdzie dokładnie wisi jaki obraz. Ich ułożenie nigdy się nie zmieniało. To była ściana jej mamy. Ściana Lauren Adler, pełna urzekających czarno-białych fotografii tryskającej energią młodej kobiety z długimi, prostymi włosami, tulącej do siebie wiolonczelę.

W dzieciństwie Elodie tak często przyglądała się fotografiom,

że na dobre wryły się w jej pamięć. Jej matka podczas rozmaitych koncertów z koncentracją wymalowaną na twarzy, widoczną w wysokich kościach policzkowych, w skupionym wzroku i zwinnych szczupłych palcach dotykających strun, które lśniły w blasku lamp.

– Masz ochotę na deser?

Ojciec wyjął z lodówki salaterki z musem truskawkowym. Elodie nie mogła nie zauważyć, jak stary wydaje się tata w porównaniu ze zdjęciami matki, której młodość i piękno zostały zaklęte w bursztynie wspomnień.

Ponieważ pogoda była piękna, wzięli kieliszki z winem i deser na taras na dachu z widokiem na ogród. W dole na trawniku trzech braci rzucało frisbee, najmniejszy biegał między dwoma pozostałymi, podczas gdy siedzący nieopodal dorośli nachylali się ku sobie zajęci rozmową.

Letni zmierzch spowijał świat sennym blaskiem i Elodie nie chciała psuć atmosfery. A jednak po kilku minutach swobodnego, kojącego milczenia, w którym oboje się specjalizowali, postanowiła zaryzykować.

– Wiesz, o czym dzisiaj myślałam?

– O czym? – zapytał. Brodę miał ubrudzoną śmietaną.

– O bajce na dobranoc z dzieciństwa. Tej o rzece i domu z wiatrowskazem z księżycem i gwiazdami. Pamiętasz ją?

Roześmiał się zaskoczony.

– Boże drogi! Ależ mnie zaskoczyłaś. Tak, oczywiście, uwielbiałaś ją. Dawno już o niej nie myślałem. Zawsze zastanawiałem się, czy nie jest zbyt straszna, by opowiadać ją dziecku, ale twoja mama uważała, że dzieci są dużo odważniejsze, niż się wydaje. Mówiła, że dzieciństwo to przerażający czas i jeśli dziecko słucha strasznych opowieści, czuje się mniej samotne. Chyba się z tym zgadzałaś, bo kiedy wyjeżdżała na tournée, nie podobały ci się książki, które ci czytałem. Czułem się odepchnięty. Chowałaś je pod łóżkiem, że-

bym ich nie znalazł, i upierałaś się, żebym zamiast tego opowiedział ci o polanie w głębokim, ciemnym lesie i magicznym domu nad rzeką.

Elodie się uśmiechnęła.

– Nie byłaś zadowolona z moich starań. Tupiałaś nóżkami i krzyczałaś: „Nie!” albo „Nie tak!”.

– Ojejku.

– To nie była twoja wina. Twoja mama była świetną gawędziarką.

Ojciec popadł w melancholijną zadumę, mimo to Elodie, która zwykle uważała, by nie rozdrapywać jego dawnych ran, tym razem nie zamierzała dać za wygraną.

– Zastanawiam się, tato... czy ta baśń pochodziła z jakiejś książki?

– Chciałbym. Dzięki temu nie straciłbym tyle czasu, próbując pocieszyć swoje niepokieszone dziecko. Nie, to była rodzinna opowieść przekazywana z ust do ust. Pamiętam, jak twoja mama mówiła, że usłyszała ją w dzieciństwie.

– Też tak myślałam, ale może się pomyliła? Może ten, kto opowiedział jej tę baśń, przeczytał ją w książce? Jednej z tych ilustrowanych wiktoriańskich bajek dla dzieci.

– Możliwe. – Ściągnął brwi. – Ale skąd te wszystkie pytania?

Z nagłym ukłuciem zdenerwowania Elodie wyjęła z torby szkicownik, otworzyła go na rysunku domu i podała ojcu.

– Znalazłam to dziś w pudle w pracy.

– Ładne... widać, że ktoś miał talent... piękny charakter pisma... – Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w szkic, po czym spojrzał na córkę niepewnym wzrokiem.

– Tato, nie widzisz? To dom z tej opowieści. To ilustracja tego samego domu.

Kolejny raz spojrzał na rysunek.